

Rafał Żółtowski



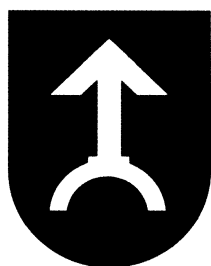
**MALUTKI
KAWAŁEK ZIEMI**



Rafał Żółtowski

MALUTKI KAWAŁEK ZIEMI

Związek Rodu Żółtowskich



Głucholazy 2025

WYDAWCA:

Drukarnia Pokrzywna

ISBN 978-83-975980-0-3

Wydanie I, 2025r.

OD AUTORA

Być wędkarzem, zapaleńcem, to kochać wodę i całą przyrodę z nią związaną. Całą, to wszystko co tam mnie otacza, bez miasta i jego zgiełku, bez tłumu ludzi i podtrutego powietrza. To cisza, enklawa spokoju, wypoczynku po pracy w gronie dzieci i kochającej żony. Zwłaszcza dla Raka, a spod tego znaku jestem. Rak to woda. Woda to życie i r y b y i g r z y b y i w o l n o ś ć . Ta wolność swoja, osobista z własnymi myślami, słowami, czynem, decyzją. Do tego oryginalny dzień, często bez miastowej ochrony.

Deszcz pada - trudno namiot moknie,

Żar się z nieba leje - trudno

Klimatyzacji nie ma - trudno.

Po deszczu lub rosie buty mokną- trudno - można ich nie nakładać.

To coś do czego tęskni wielu ludzi na świecie. Najczęściej ci, którzy tego nie mają. To ci miastowi. Odwrotnie, ci którzy tam żyją, ale przez zwykłą codzienność tego nie zauważają i tęsknią do kina, teatru, cyrku, do krytego basenu, stadionu i mnóstwa sklepów.

Moje kilka lat pracy i pobytu na wsi były etapem spokojnego, bezpiecznego i ciekawego życia. Wieś jest cudowna, ona zawsze jest inna, cały czas się zmienia, nawet szybciej niż ciekawe witryny sklepowe, reklamy na skwerach, architektura czy przestrzenne zagospodarowanie. Wieś z dnia na dzień jest inna. Posadowione domy są stałe, ale ich otoczenie co dzień jest nowe, na swój sposób ciekawe. Tam ogródek przed chatą i posadzone piwonie i dalie. Obok nic, sama trawa.

Dalej irysy i malwy, a jeszcze dalej kapliczka ze świętą postacią. Cisza, czasami różnie krajzega, jak to przedstawię później. Jakie to inne i ciekawe w stosunku do monolitu bloków osiedlowych. Mamy cyrk, kina, teatry, ba, nawet metro i bezkolizyjne rozjazdy, światła na krzyżówkach i podziemne przejścia. A do tańca nam grają alarmy wozów specjalnych, karettek pogotowia, policji i staży pożarnej. Niby wesoło, ciekawie, a tak naprawdę ciężko, smutno, głośno, szybko, bezcelowość, obawa i strach!

Być wędkarzem, zapaleńcem? Wolę! Mimo, że z krwi i kości mieszczuch. Wolę!

Te kilka stron, które zechcecie przeczytać, może proste, rymy staroświeckie, takie „częstochowskie” już nie na te czasy.

Jednak zachęcam!

I Twojej pamięci, Stefano, żono moja, te słowa POŚWIĘCAM!

Słowa kluczowe zawarte w tekście pomocne przy czytaniu

Bienie

Lepaki

Judziki

to wioski leżące wzdłuż jeziora Sunowo na jego końcu,
widoczne z naszych działek, od wschodu, południa i zachodu.

Romek i Tomek synowie moi

Janek

Kazik

sąsiedzi moi po lewej i prawej stronie

Jola, żona Janka

Guziak - sąsiad dalszy z dwoma córkami, zwanymi syrenami

Bombory - rodzina mojej żony

Bienie

Lepaki Małe

Judziki

Jezioro Sunowo i miejscowości Bienie, Lepaki Małe, Judziki.
Województwo warmińsko-mazurskie, powiat oraz gmina Ełk

WSTĘP

Postanowiłem podzielić się moimi spostrzeżeniami z obserwacji przyrody a przez to i uroku otoczenia wiejskiego, uroku roślin, zwierząt, klimatu, pogody, trochę prymitywnego spędzania wolnego czasu, ale jakże zdrowego, cichego, bezstresowego życia nad jeziorem Sunowo.

Wędkarz zapaleniec!

Zaczęło się całkiem niewinnie i bez celów przyszłościowych. Szwagier mój Janek, starszy brat mojej żony Stefanii, zadzwonił do nas do domu i zaproponował wspólny wyjazd na ryby na okoliczne jeziora. Przy Ełku jezior dużo, wybrał Sunowo i wieś Bienie. Na ryby, dwa razy mnie prosić, to o raz za dużo.

Spakowany zawsze, ale sprawdzić trzeba. Ten duży hak - też, bo może się trafi wieloryb lub sum 80-kilowy. Świadom jestem, że to przesada, ale torba wędkarza to zawsze przesada, czego tam nie ma? A no nie ma szminki do ust, pilniczka, lustreczka i buteleczki z perfumami. Buteleczki są, ale nie takie małe. Stefania i dzieci nie jadą, bo jutro szkoła, lekcje do końca nie zrobione, poumawiani z kolegami. Trudno! Ona wie, że ryb nie będzie, za to butelki wrócą z całym sprzętem, kaloszami i siatkami. Spryciara, a mogła być kierowcą.

Wróciłem z połowem i do domu dowiołem kilka ładnych, dużych okoni i leszczy. To z powodu trafionego miejsca w środku samej wsi Bienie. Zatrzymaliśmy auto Janka w szerszym miejscu, by innym nie utrudniać przejazdu. Byliśmy tu gośćmi. Nie wypadało swą obecnością miejscowym przeszkadzać. Po lewej stronie wiejskiej drogi niewielka łąka, gdzie odnoga jeziora jako węższa zatoka dochodzi do samej wsi. Na końcu, na linii brzegowej stał stary, mocno naruszony czasem pomost częściowo dziurawy. Strach wejść. Weszliśmy. Udało się bezpiecznie rozwinąć wędkę i łowić. Mieliliśmy żywe karasie, więc okoń bił jeden po drugim i to ładny z gruntu, bo głęboko tam było.

Naraz patrzymy, a od zabudowań idzie ku nam mieszkaniec. Odświętnie ubrany na niedzielę, w białym podkoszulku i spodniach przykrótkich, by rosa mankietów nie pomoczyła.

Przez Janka i przeze mnie jedna myśl przeszła. Koniec łowienia. Pewnie nas pogoni. Szybko wyjąłem z torby butelkę piwa i na ogólne Dzień Dobry wcisnąłem do ręki podarunek. Pan gospodarz zgrabnym ruchem przedniego zęba pozbył się zbędnego kapsla i duszkiem w mgnieniu oka opróżnił zawartość.

Zarepetowałem, i widać było w oczach wdzięczności, że oczekiwał tej pomocy w niedzielny poranek. Zaczęliśmy rozmowę na temat pogody i wiatorku. Bezpieczny temat. Ciągniemy dalej. Biorą! Panie gospodarzu!

Te smarkacze z wioski tu łowią płotki, leszczyki. Na chleb. Rzucą karmy to się drobnica schodzi. A jak one, to i okoń przyjdzie. Tu nie płytko, duży dołem chodzi.

Tak, panie gospodarzu. My z samego rana, nie chcieliśmy budzić przy niedzieli i pytać o zgodę, by na łąkę wejść.

To nie moja łąka, to takiego z Ełku. On sam od nas, ale do miasta za robotą poszedł. Tu bieda, starzy zostali, ziemie słabe i wszędzie górki. Turystom uciecha, a nam chleb codzienny. I ja sprzedam, choć syn jeszcze młody ale też do miasta pójdzie.

Kobieta mu ucieknie. Wodę dali do wioski, a prąd czasami zabierają. Też sprzedam!

Kupił bym panie gospodarzu rzekłem, zwracając się do niego.

Słowa pana gospodarza obudziły u Janka i we mnie chęć posiadania malutkiego kawałka ziemi. Swojego, własnego i pewnego, że mamy miejsce do spokoju, odpoczynku, relaksu od zgiełku codziennego dnia w mieście. Janek z żoną Jolą niebawem pojechali do Niemiec. Mieli tam wcześniej ustaloną pracę na okres wakacji. Ja natomiast myślą opętany chciałem mieć kawałek ziemi własnej. Mam ogródek, a kiedyś nawet miałem kawałek pola pod ziemniaki. Ale tam nie było wody i ryb. Wędkarz zapaleniec. Moja Stefania też pełna nadziei, że kiedyś choć na chwilę oderwie się od miasta. Jej to też nie pasowało. Mój pomysł miał już przyjaciela i wsparcie. Wcześniej, ze znajomym kolegą, mechanikiem samochodowym, chcieliśmy kupić małą działkę w okolicach Sejn. Nim dobiliśmy targu została sprzedana. On nadal chciał bardzo kupić, więc pojechaliśmy do Bieni i wpłaciliśmy zaliczkę panu gospodarzowi, by znów nikt nas nie uprzedził.

Kazik, bo o nim mówię, był moim sąsiadem po prawej stronie. Na samym dole przy jeziorze rosła stara wierzba. Nie wycięta, gdyż znaczyła od sąsiada granicę. Jedyna dająca cień. Trafiła się wyjątkowa ozdoba jego działki.

Janek po powrocie z Niemiec odczytał kartkę, którą zostawiłem mu w drzwiach w skrzynce listowej. Szybko, bo notariusz czekał doбилиśmy targu dosłownie w ostatniej chwili.

Podzielony na miesiące, dobrze spędzony czas w Bieniach przybliżę czytelnikowi według swych odczuć i spostrzeżeń w sposób prosty, ale rzeczywisty.

A co było dalej? Proszę czytać!

STYCZEŃ

Teren własny, nawet spory. Więcej niż oczekiwałem.
5600 metrów kwadratowych. W zamarznętej trawie szukamy z żoną drewnianych kołków zabitych w grunt przez geodetę. Trzeba było się trochę nachodzić, by wszystkie zlokalizować. Teraz wiemy, gdzie nasze, gdzie Kazika, gdzie Janka. Zadowoleni jak dzieci małe, już pełni planów na przyszłość. To takie dobre uczucie, jak jest się dumnym i można cieszyć się i widzieć uśmiech na twarzy Stefanii. Zimno i lekko wietrznie. Na zewnątrz, z dala od zabudowań, odczucie chłodu jest większe. Śniegu na razie nie ma, więc chodzi się lżej. Jezioro zaś skute na całej powierzchni, nawet tam gdzie nurt biegnie. W nocy był pewnie większy mróz. Dobrze, mam łyżwy w samochodzie, swoje młodzieńcze hokeje z okresu licealnego. Zimą, całą klasą, po lekcjach chodziliśmy poszaleć na lodowisku wylanym na kortach tenisowych w Parku Skaryszewskim, na granicy warszawskiej Pragi i Saskiej Kępy. Cała klasa chodziła

i dobrze wszyscy jeździli. Chłopcy na hokejach, dziewczyny na figurówkach. Wśród nas była taka solidarność łyżwiarska, zgrana paczka. Gdy ktoś się przewrócił, czyli, mówiąc po młodzieżowemu „wywinął orła”, był na ustach szkolnej młodzieży, zwłaszcza w czasie przerw lekcyjnych. Klasa to klasa, nie tylko lekcyjna, ale i sportowa.

Ot tak na myśl przyszło wspomnienie i to chyba patrząc na błękit zamarzniętej tafli jeziora. Nie znam jeszcze głębokości, ani gdzie źródła lub głębia, czy płycizna. Lód widać mocny. Spróbuję!

Augustowskie jeziora mnie wychowały. Ja z góry wiem, czy wolno wejść na lód. Szalony nie byłem. Stefania wytrzymała te próby, zresztą nie trwała ona długo i zbyt daleko.

Ale była pierwsza, zaliczona i udana. I to jest ważne!

Wracamy do domu.

STYCZEŃ

inaczej

Zabetonował mróz trzcinę
Wokół zimnego lotniska.
A pod pasem startowym
Dywizjony Szczupaków,
Płoci i Okonia.
Czekają na ciepło
co ich porwie w toń.

Na wieży kontrolnej
Zakładam łyżwy.
Wykręcam elipsy i beczki,
Wznoszę się, nurkuję.
Na wąsach szron osiadł.
Patroluję kluczem,
Jak stalowe ptaki.
Od Bieni, Judzików
Po same Lepaki.

LUTY

Luty smutny, bo tak mi się wydaje. Dni niby dłuższe, ale chłód i wiatr gasi nadzieje na szybszy powrót lata. Oby choć wiosna przyszła jako zwiastun oczekiwanych cieplejszych dni. Wiem, że to będzie w normie, jak co roku, ale to czekanie zawsze jest długie, niecierpliwe i dręczące. Tak patrzę, trzciny żółte i wiem, że do czerwca zielenią nie odbiją. Drzewa, które zawsze były siedliskiem i noclegiem kormoranów też pustką świecą. Liści też nie ma, bo skąd? To takie moje biadolenie i brak cierpliwości. Prywatne, osobiste i wiem, że zbędne. I tak nie przyśpieszę natury. Mróz lekko odpuścił i wiatr już nie taki. Wcześniej wiał od Bieni. Poszedł na Lepaki. Zimno mi stać w miejscu, choć widok zawsze wspaniały, godny oglądania. Schowam się do wozu. To dopiero luty. Mam kozuch a Stefania futro, ale zimno wchodzi w najgłębsze zakamarki ciała, co widać po drzeniu i tupaniu w ziemię. Wracamy do domu. Pierwsze będą ptaki, a potem ziele wszędzie i ruszy się ziemia po zimowym odpoczynku.

LUTY

inaczej

Lutowa zmarzlina
Zamurowała wyrostki lata.
Skamieniałe pole
Straszy zębami
Zamarzniętych skib.
Żółta trawa,
Żółte trzciny.
Żółty pomost

Żółte Chiny!

Otuleni w kożuchy i futra
Patrzemy na Lepaki.
I w marzeniach widzimy
Te klucze, te ptaki,
Co przylecą na dni gorące.

Może za dwa miesiące?

MARZEC

Pogodnie za dnia. Takie pierwsze odczucia nadchodzącej zmiany. Oby przyszła nowa pora roku.

Zima się znudziła. Mroźna, wietrzna, ciemna, uciążliwa i śliska. Potrzebna i ona, jak i inne pory roku, zwłaszcza dla dobrych plonów, czystości gleby i dla całości nowego życia. Ale dobrze, bo lipcowy jestem i murem za ciepłem stoję. Chodzimy razem po łące. Stefania jeszcze w zimowych butach prawie po kolana i ciepłej kurtce, ja trochę luźniej, swobodniej.

Będziesz chory! Kwituje obawą o me zdrowie.

Tak, ze złości jak jeszcze śnieg spadnie! Zażartowałem.

Może już nie, cicho odpowiada. Wiem, że myśli tak samo. Idziemy w dół, do jeziora. Słyszę, jakby żuraw się odezwał. Nie, to nie on. Nie to jezioro. Przylatują wcześniej, ale brak tu mokradeł, czy bagienka. Dobry dostęp od lądu. Tu ich nie będzie.

Obawa przed lisem, ludźmi i inną zwierzyną. Tu go nie spotkamy, chyba tylko przelotem.

Słysząc jak wita o poranku dzień i potem, jak go żegna.
Jest południe więc jednak, to nie on!

Nad wodą w prawo można dojść do Lepaków. Płaski teren
dobry do spaceru. Może kaczeniec się trafi. Ziemia już stężała
po śnieżnych roztopach, ale jeszcze martwa. Patrząc, a maleńkie
fragmenty trawy jak by się zielenią. Czubeczki takie, drobne
odrosty. No, to buduje. Kaczeńca brak. Ale będą, wierzę,
że będą. Jeszcze kilka dni.

Jakiś mały pomost łód zniszczył. Już go nie będzie. Wyparty do
góry na opał się nadaje.

Myślę o bocianie. Na wioskach brak dzieci, a może przyleci
i znów dzień zabłyśnie pokoleniem nowym. Daj im dobry Panie.

MARZEC

inaczej

Ciepło za dnia.
Puszcza soki strumieniem życia.
Zielenieje łąka.
Motyl wyleciał z ukrycia.
Kasza na wodzie,
Świeżo gotowana promieniami słońca,
Pomost wypiera do góry.

Kret porobił Sudety na łące,
Mocniej świeci słońce,
A my szukamy kaczeńca,
Co wiosny daje znaki.
Idziemy brzegiem aż po Lepaki.
Słuchać wody ciche szemranie.

Przyleciał bocian na Zwiastowanie.
Pękło królestwo zimy!
My się cieszymy, cieszymy, cieszymy!

KWIECIEŃ

Przyjechaliśmy koło południa. Dzień ładny, słoneczny i wiatr nie męczący. Łąka cała zielona.

Tak jest zawsze koło wody. Wilgoć od jeziora okrywa całą powierzchnię ziemi i rośliny szybciej pną się do góry. Serce też się raduje, bo to już nie zima.

Za to pracy na pewno przybędzie.

Kosić trzeba będzie, czasami co dwa tygodnie. A jest co, bo ponad pół hektara. Załadowałem na skrzynię mego trucka zamówioną wcześniej u stolarza toaletę. Rzecz niezbędna. Owe pomieszczenie, jak na warunki polowe, było dość komfortowe. W magazynach sklepowych na wsi były przenośne umywalki ze zbiornikiem na wodę i kranem. Dołem stało wiadro odpływowe. Rzecz sanitarna, ale cwana. Woda z jeziora, ściereczka, czy ręcznik i wszystko, co trzeba. Rodzina się cieszyła. Po czasie doczekała się wydeptanej w trawie ścieżki, co podkreślało konieczność jej istnienia. Po mojej lewej stronie, na działce szwagra Jana takie zabezpieczenie też powstało dwa tygodnie później. Czuliśmy się jak we własnym kurorcie.

Kuchnia też była w przyczepie campingowej z butlą na gaz. Z czasem doszedł obszerny stół z desek, a więc i jadalnia była. Teraz tylko odpoczywać i cieszyć się ciszą, powietrzem, widokami i samotnością, taką naturalną równoważnią do co tygodniowego kontaktu z szumem, hałasem, natłokiem pracy z ludźmi. To taki nasze inne odejście od codzienności. Inny tlen.

WYPOCZYNEK NASZ!

Pewnego dnia napisałem tekst Naszej Piosenki, którą często śpiewaliśmy w gronie rodziny i tej bliskiej i dalszej, wieczorami przy ognisku. Słowa moje, muzyka i śpiew z gitarą w wykonaniu Joli, żony Janka.

Inspiracją były dwa jastrzębie, które zadomowiły się blisko nas i lotem patrolowały trawy w poszukiwaniu pokarmu. Jeden był rdzawy, czerwony, a drugi czarny. Mówiliśmy na nie „nasze orły”. Także wieczorny krzyk żurawia i plusk wody żerujących ryb uspokaja i przynosi ukojenie po całym tygodniu.

KWIECIEŃ

inaczej

Stara chata, gniazdo bociana
Niespodziewanie się ożywiło
Niemieckie fundamenty
Znów przyjęły ściany.
Naprzeciw nas zabił życiem.
Kawałek ziemi zapomniany.
Widać, kto drogą zmierza
Z daleka tupot o szyny.
A ponad nami słyszać słowiki
I warkot maszyny
Co wykup odrabia w fabryce wydany.
I Bienie, Lepaki
Naprzeciw Judziki
Krajobraz kochany!

Ciemno dość szybko jeszcze zapada. Musi być ognisko i pieczone kiełbaski. Zdążymy wrócić i przenocować w domu. Bliżej będzie do pracy i do codziennych obowiązków.

Zbieram chrust i drewniane pozostałości po wierzbach i olszynach, których jest mało. Poprzedni gospodarz powycinał wszystko, co nadawało się do pieca. Zapalimy ogień, zjemy, zaśpiewamy.

Schodzi się rodzina i sąsiedzi przyszli. Jola stroi struny w gitarze. I już!

NASZA PIOSENKA

Nad Sunowem, nad Bieniami
Krąży orzeł nieruchomy.
Kłusujące kormorany,
Perkoz i bociany.

Czapla suszy skrzydła swoje.
Słońce pali twarz.
Błękit nieba ponad nami.
WYPOCZYNEK NASZ!

Żuraw żegna dzień jak dzwony.
Pachnie pokos traw.
Ryba w wodzie się przewraca.
WYPOCZYNEK NASZ!

Zapomniana nasza praca.
Tu się czujesz niestrudzony
W wodzie widzisz swoja twarz.
WYPOCZYNEK NASZ!

Dym się snuje z paleniska.
Bo to pora już ogniska.
Więc śpiewajmy wszyscy wraz!
WYPOCZYNEK NASZ!

Nad Sunowem, nad Bieniami
Krąży orzeł nieruchomy.
Kłusujące kormorany
Perkoz i bociany.

Miło i ciepło jak na kwiecień. Kiełbaski głodnemu zawsze
smakują.
Przyjedziemy w maju!

MAJ

To najpiękniejszy miesiąc w roku, a zwłaszcza po piętnastym. Wcześniej trzy dni podobne do siebie zwane „ogrodnikami”. Nie będzie już dokuczliwego chłodu i nawet gdy deszcz popada, to jednak już letni i ciepły. Niech pada, bo potrzebny. Susza, jak mróz zniszczy wszystko, co wiosna nam dała. Szkoda by było. Niby wszystkie pory roku równe, to zima wydaje się dłuższa. Bardziej smutna, uciążliwa, zimna i ciemna. Czekamy na ten maj, te dłuższe, słoneczne dni. Tego powiewu ciepłego wiatru i ciepłych wieczorów.

Idę wzdłuż łąki do brzegu jeziora. Wszędzie zielono, żółto od mlecza, czyli od mniszka lekarskiego. Taka ciepła roślina, lecz krótko kwitnąca, wiosenna. Później już nie będzie widoczna. W Stefanii ogrodzie tulipany stoją pionowo w pełnym rozkwicie w różnych kolorach, jak akwarele na palecie malarza. Pewnie to ją zainspirowało, bo w niedługim czasie przeniosła je na płótno, ku ozdobie domowych ścian.

Woda w jeziorze zimna jeszcze, a to wszystkim znany znak, że ryba śpi, nie żeruje. Trzeba czekać na ocieplenie. Pod wieczór szczupak będzie głodny. Na razie stoi bez ruchu na płytkiej wodzie, gdyż ta szybciej ciepło pochłania, niż głębia.

Jest niedziela. Dzień wolny od pracy. Dlatego jesteśmy. Miejscowi mieszkańcy bardziej świątecznie ubrani poddają się obrzędom, zgodnie ze swą wiarą. Maszyny zamilkły, krajegi też, śpiew czasami wiatr niesie przez łąki i pola.

Święto, szczególnie na wsiach jest szanowane, odmienne niż święta w mieście.

MAJ

i n a c z e j

Na zielonej łące,
Młode złoto,
Stare złoto,
Dmuchawce !
Z chmur wino się polało
W kielichy tulipaow.
Blżej wody rehot żaby
I kłęby komarów.
Z daleka śpiew ludzki,
Procesja muzyków.
Zgromadzeni przy kapliczce
od strony Judzików.
Poprzez wodę dobiegają głosy uniesione.
Chwałą Pana.
Chwałą łąki.
Chwałą łąki umajone!

Przywieźliśmy, by posadzić w pobliżu kręgu na ognisko, dwie Tuje i trzy krzewy Mahonii. Niech się pną do góry. Wyżej blisko granicy Kazika ładną sądzonkę syberyjskiego świerka.

Nie ma rodziny, jesteśmy we dwoje, więc ogniska dziś nie będzie.

Lato przed nami. Jeszcze nie raz zapalimy i pośpiewamy. Napisałem słowa do drugiej piosenki, ale to później wspomnę. Wracamy, dzieci same w domu.

CZERWIEC

Miesiąc z najdłuższym dniem i chyba najcieplejszym. Krótko, bo tak naprawdę do 26 lipca. Po nim, po święcie Anki, chłodne noce i poranki. Tak mówi ludowe przysłowie. Jest to prawda, więc te ciepłe, wręcz upalne dni trzeba wykorzystać w pełni. Upał specjaliści prognozują długi. Janek i Stefania, każde z osobna zaprosili nad wodę swoje rodzeństwo z mężami, żonami i z dziećmi na sobotę i niedzielę. Jak co roku będzie uroczyste otwarcie sezonu kąpielowego nad jeziorem Sunowo. Miejsca dla każdego jest pod dostatkiem wraz z miejscami parkingowymi. Trzeba mieć tylko namiot do spania.

Dzieci już rozpoczęły wakacje i jak wiem kąpielisko i pomost będą centralnym zaludnionym miejscem pobytu dorosłych, młodzieży i pomniejszych dzieci. Mamy własnego ratownika z papierami. Romek będzie czuwał, by bezpiecznie było.

Gdy chodzi o kąpiel, dzieci nie mają umiaru, więc trzeba im to dawkować.

Pierwsi już przyjechali. Upał się rozwija. Będzie głośno i gorąco. Wakacje, niech sobie brykają i się cieszą.

UPAŁ

Od tego żaru głowa boli,
Tak jak byłbym chory.
Nad wodę przyjechali Bombory.
Rozkładają śpiwory,
Chłopcy namioty budują,
Przekładają z auta plecaki
A upał straszny, ach taki!

Będzie wielkie kąpielisko.
Płetwy, deska, maska, rurka.
Zaraz skoczą, dadzą nurka.
Zaraz w wody toń się wleją,
I za chwilę tam zziębnieją.
Wyjść już trzeba, bo kurcz blisko.
Cichnie wodne pobożowisko.
Młode serce z cicha płacze,
Przez godzinę nie poskacze!
Pół godziny nie minęło,
Uśmiechnięci. Wujku chcemy
Na chwileczkę wejść do wody,
My się trochę pokąpiemy!
Kiwnę głową, chcę powiedzieć,
Towarzystwo już nie słyszy.
Tamten wpadł, a tą wrzucili,
Już odwrotnie jest po chwili.
I radości nie ma końca.

Straszny upał jest od słońca.

Głowa boli porażona

A zabawa jest szalona!

Choć dorośli maja rację,

Wujku - przecież są wakacje!

Dojeżdżają następni goście. Gwar większy, wesoło. Wszyscy się krzątają wokół swych namiotów. Idą w ruch wędki, spinningi i inne akcesoria potrzebne przy łowieniu. Panie wyciągają termosy i kanapki, zwłaszcza dla dzieci głodnych po kąpieli. Przydałby się ponton, a nawet dwa. Janek ma łódkę, ale tylko dwuosobową. Połowią z pomostu wieczorem, jak woda zmacona kąpielą powróci do normalnego stanu. Ryba wtedy przyplynie i coś będzie na grila. Janek specjalnie skonstruował nad paleniskiem okrągły ruszt z żelaznych prętów na trzech stalowych nogach w kształcie piramidy z podciąganiem regulującym wysokość rusztu nad paleniskiem. Gril zadebiutuje, a i to coś z grila będzie na kolację. Kielbaski, boczek, karkówka i pewnie ryby.

Czekamy na pozostałych zaproszonych gości. Pójdę w kierunku wjazdu, by nie błądzili. Spojrzałem w lewo. Widok dobrze znany, ale i bardzo miły. Mieszkaniec Lepaków, gospodarz trzymał na swym ogrodzonym wzgórzu trzy piękne konie, luzem biegały na łące i wzgórzu, który nie był pod orkę, tylko do wypasu. Piękne konie. Nazwaliśmy je lepackie rumaki. Przyzwyczajone do naszej obecności czasami podchodziły pod ogrodzenie.

Wiosną wzdłuż brzegu posadziliśmy wierzby i olchy. Kupiliśmy goły brzeg i działkę ziemi bez odrobiny zieleni. Cienia trochę potrzeba, by równoważył pustylny żar. Gdy jedziemy dłużej niż jeden dzień, zabieramy nasze dwa psy. Foka, owczarka

niemieckiego, mądrego po dwuletniej szkole treserskiej i mniejszego Fidelka, mieszańca. Cień był tylko za samochodem i przyczepą campingową. I tam one się chowały przed żarem. Oczekuję na pozostałe osoby. Widok śliczny!

WIDOK

Często patrzę z góry.
Widok ukochany.
Ogród i skalniak i sad owocowy.
Rozgoszczone zielsko
Oczekuje Stefanii.
Porosły wierzy, olszyna.
Czerwona truskawka się w oczach mieni,
Skoszona trawa.
Wszystko w pełnej zieleni,
Daje poczucie ładu.
Rabarbar wykwił,
Szczaw wykwił.
Stefania z bylicą wojuje!
Wiatr wcale nie wieje,
Słońce grzeje i grzeje,
I tak w dzień czerwcowy
Rozpoczął się w Bieniach
Sezon kąpielowy.
Złowili trzy ryby,
Płotkę i dwa leszcze,
Do kolacji pewnie
Dołowią coś jeszcze.

Goście w komplecie. Wszyscy dojechali. Będzie gorąca kolacja. Obiad cieniutki, bo nakryć za mało. Gril uruchomiony.

Specjalnie do auta Romek doczepił przyczepkę. Przywiózł namiot magazynowy, taki radziecki, bez podłogi. Spać w nim trudno, na szpadle, grabie i łopaty dobry.

Dzieci nasze nocują w trójce. Przyjechał z nim zapas suchego drewna do ogniska, by jasno było i komary z dala się trzymały. Tyle, że jak ktoś ma "słodką krew" to i tak tną, zwłaszcza po zmroku. Na tegoroczny sezon napisałem kilka słów nowej piosenki. Jola już muzykę potrenowała. Będziemy śpiewać i inne i te moje, ku wesołości naszej. Myślę, że nie zabraknie. Znając wesołość rodzeństwa Stefanii i taką otwartość na prowadzone rozmowy, dowcip i śmiech powszedni, powinno nam tego nie brakować. Przecwiczymy tekst i w gardło na lepsze brzmienie.

Toż okazja! Cała rodzina w komplecie. Przynajmniej ta w Polsce. Wieś Bienie, to o niej piszę.

Tekst ma cztery zwrotki z kluczowymi słowami „Gdzie, Skąd, I”.

GDZIE BIENIE!

Gdzie fala o brzeg się rozbija.
Gdzie czas tak szybko mija.
Gdzie namiot się rozwija
Gdzie kołek na pomost się wbija.

Skąd robisz wyprawy na grzyby
Skąd wstajesz na ranne ryby
Skąd prześliczne widoki.
Skąd do wody skoki.

Gdzie śpiewasz przy świetle ogniska
Gdzie pełna raków jest miska
Gdzie nocne księżycu cienie.
Gdzie jest Twa miłość.

GDZIE BIENIE?

I ciepło i czerwiec już blisko
I znów rozpalimy ognisko.
I gdy pogoda nam sprzyja.
I fala o brzeg się rozbija
I czas ucieka jak oka mgnienie.

TAM JEST TWA MIŁOŚĆ!
TAM BIENIE!

Nadchodzi wieczór, choć jasno jeszcze. Janek poprzesuwał drewniane bale, które służyć będą za siedzenia wokół paleniska, tak by było ciepło, ale nie za gorąco. Pozmieniałem psom wodę w miskach, bo cieplej nie chcą pić, a chłodną pochłonęły od razu. Do mej przyczepy campingowej dołączony jest namiot podobnej wielkości jak przyczepa.

Ma szyby z pleksi więc jest jasno. Tam jest nasza jadalnia i fotel wypoczynkowy. Jest też szafeczka na drobne przedmioty potrzebne przy codziennych czynnościach domowych, a nie ma dla nich miejsca w przyczepie. To także ochrona przed słonecznym żarem, przed przelotnym deszczem, czy burzą. Nie wiem jak dziś będzie. Upał pod wieczór z lekka zelżał, ale gdzieś w oddali słychać grzmoty. Dobrze by było gdyby bokiem gdzieś poszła, bo żał gości zaproszonych na otwarcie sezonu. Panowie uzbrojeni w wędkę, podbieraki, z góry ustalają miejsca połowu. Janek jednego brata wziął na łódkę, reszta na pomost mój i Kazika. Sąsiad ich przecież nie wygoni.

Lodówka nasza, metr od brzegu w wodzie wychładza płynny przydatne przy kolacji w celu poprawy zdrowia.

Patrzę z boku na lewo. Lepackie rumaki podeszły do granicy zainteresowane nagłym zjazdem nieznanych ludzi. Chodzą zawsze razem, czasami biegną, rżą głośno. Może je gzy męczą, czy inne napastliwe owady, czułe na zapach końskiego ciała. Są bajecznie ładne, okazałe. Stefania nie wpadła na pomysł, by przenieść je na płótno. Szkoda, że o tym nie pomyślałem.

LEPACKIE RUMAKI

Wole jak ptaki!
Głucho o ziemię wałac kopytami.
Ruszyły konie galopem.
Psy się z cienia poderwały,
Ze złością je obszczekały.
Stanęły konie
Na lepackiej górze.
Po naszej prawej stronie.
Potem podeszły blisko,
Patrząc na obozowisko.
Pochyliły głowy w ukłonie.
Wolne jak ptaki.
Lepackie rumaki.
Nie wiązane, nie grodzone.
Pobiegły w drugą stronę.
Wiatr im grzywy rozwiewa.
Bawią się. Pluskają się w wodzie,
Lub po krawędzi wzgórza maszerują.
Kładą się na grzbiecie do góry nogami.
Dostojnie wędrują brzegiem i trawami.
Galopują swoimi ścieżkami.
Głucho o ziemię wałac kopytami.
Lepackie rumaki.

Chłopcy moi zrobili sobie zawody, zanim wujkowie zarzucają swoje wędkę. Tomek założył płetwy, Romek bez. Dzieci już do wody nie będą puszczane. Teraz woda do starszych należy. Dzieci usługowe, pomagają robić kanapki. Toż same też będą jadły. Cały dzień się pluskały, to wytraciły już sporo energii. Romek z Tomkiem w wodzie. Sto metrów około i z powrotem. Wygrał jednak Romek. Starszy i szkolony. Tomek samouk, ale mocno w tyle nie został. Córka Piotra, brata Stefani, popłynęła aż na środek. Woda tam chłodniejsza, nurt tamtędy ciągnie. Romek podpłynął do niej. Na lądzie mocno ją zrugął. Tego się nie robi bez ochrony.

Chłopcy łowią, dziewczyny kucharzą i tak powoli zmierzchn zapada. Ryby tak się udały, średnio. Większość drobnica, takie na patelnię. Poskrobać, posolić i na grila. Chrupiące będą. Kto nie jadł, to nie wie, że to pyszna zakąska. Panowie przynieśli lodówkę z wody, niech szkło podeschnie trochę. Palimy ogień. Dobrze mieć więcej żaru niż otwartego płomienia. To trochę czasu potrwa. Rybki ktoś pozbawił łuski, posolił i podsychają na powietrzu. Mokre raczej się gotują a nie pieką. Jak mnie pamięć nie myli młodzież siadła na kocu czymś zajęta. Toczą rozmowę i chyba grają w Makao.

Niedługo zupełnie będzie ciemno. W ciągu dnia nie wiało. Teraz leciutki podmuch się zrywa. Dobrze, że lekki. Będzie ogień dymił do góry a nie po naszych twarzach. Coś mi się wydaje, że dwóch szwagrów z lekka przygotowało żołądki na odmienne środowisko spożywania. Dawkując powoli spodziewają się dłuższej biesiady, niż kolacja w warunkach domowych. Dobrze, oby tylko jutrzejszego wieczora zdrowi odjechali.

Rozmowa się toczy. Jedno z drugim coś mówi, coś opowiada. Jola brzęczy strunami. Zaraz pośpiewamy. Może nawet głośno. Ludzi na kilometr już nigdzie nie ma, choć po wodzie głos niesie się donośnie. Janek właściciel grila co chwila przekłada pieczone na drugą stronę, by z obu ładnie się rumieniła. Rybki szybciej dochodzą i są nawet chrupiące. Karkówka i boczek trochę kapią tłuszczem, ale to „miód w gębie”. Śpiew już jest blisko. Dziewczyny szybciej w ton wpadają, zaś panowie w gadkę. Jeden coś mówi, drugi go słucha. Mówić jest o czym, jak to w rodzinie.

Pożegnały się z nami dwie „syreny”, koleżanki Romka, Zosia i Marysia, córki Guziaka dalszego sąsiada.

Biesiada trwa. Trochę głośniej i raźniej dokoła. Kolejne utwory muzyczne Jola nam serwuje. Nie minęła moich i z tego się cieszę. Wszystko się udaje, według planów składa. Nikt się nie wygłupił do końca biesiady. Niektórzy jeszcze siedzą mocniej rozgadani, inni już w namiotach.

Dzień ten opisałem w takich moich słowach, więc przedstawię je teraz.

CZERWIEC

Gorączka, spiekota
Posypał się kwiat piwonii.
Skulone listki wołają o deszcz.
Rozpędzony Romek poszybował,
Chlup, jak chłodno.
W płetwach Tomek.
Wyścig do boi.
Woda upał koi.
Z wizytą przybyły dwie syreny.
Import od Guziaka.
Zewsząd śmiech i krzyki.
Woda hałas niesie
Po same Judziki.
Konie się pluskają
Przy lepckiej górze.
I dalej spiekota.
Coś idzie na burzę!

Rozchodzimy się. Pora spać. Jeszcze się umawiają na poranne ryby. Tak, świt nie daleko.

Wstanę zrobić porządki po imprezie. Widać brzask poranny, od wschodu, od Bieni.

Czuję lekki chłód. Wiem, że zaraz ustąpi. Znowu upał będzie.

Nadszedł świt. Słońce od Bieni idzie ku górze.
Promień pada na kwitnące róże,
Otulając ciepłem, odparowuje nocną rosę.
W żywej naturze kiełkuje życie.
Trawy mokre poszycie powoli na wietrze wysycha.
Śpiew ptaków jest blisko,
Budzi się obozowisko.
Ziewaniem i przeciąganiem witają.
Nowy dzień nastanie.
Zaraz będzie śniadanie.
Te mniejsze śpiochy spływają z łowiska
Zapalają ogniska.
Będą piec kiełbasę, lub złowione ryby,
Albo tak, na niby, niech się pali
Na wodzie nie ma fali,
Dookoła wszystko w kolorze zieleni,
A słońce ku górze idzie od Bieni.

Niedziela. Patrząc na niebo trudno dopatrzeć się chmurki, choćby najdrobniejszej. Będzie grzało. Nie narzekam, nie skarżę się. Zimą i wiosną na ten upał czekałem. Dobrze, że tak jest. Nie tylko woda potrzebna do życia, choć brak jej widoczny miejscami w trawie pożółkłej wypalanej suchością podłoża. Natura stara się to regulować i stąd wieczorna i poranna rosa zasila trawę przed temperaturową zagładą. Koło południa powiał lekki wiaterek. Łżej dziś niż wczoraj, ale spiekota trwa. Goście po trochu zajmują się sobą. Opalają się, czasami, zwłaszcza dzieci i młodzież, zaliczają kolejne kąpiele wodne. Stefania coś gotuje w przyczepie na gazowej kuchence. Czas mija na wypoczynku i totalnym bezrobociu. Zaraz zabiorą się za zwijanie namiotów póki suche, bez wilgoci. Będą potrzebne na kolejny raz. Z lekka powiewa ciepły wiatr. Łżej trochę.

Południe. Słońce od Judzików.
Środek dnia. Spiekota, gorączka.
Usycha nasza łączka.
Trawa błaga o deszcz,
Skręcona w żółtą się zmienia.
Na wędkę złapał się leszcz.
Parzy gorąca ziemia.
Nigdzie nie ma cienia.
Nawet psy z tego powodu
Pochowały się w cień samochodu.
Gdy wiatr wzdłuż wody powieje
Upał jakby trochę lżeje.
I skwar już nie taki.
Słońce świeci od zachodu.
Poszło na Lepaki!

Goście spakowani. Pierwsi odjadą ci, co drogę daleką mają.
Dzieci mają półkolonie i na jutro trzeba je przygotować. Ogólnie
zadowoleni, choć lenistwem zmęczeni. Zmianą codziennego
trybu życia. Było miło, Obiecują, że w sezonie na pewno jeszcze
się spotkamy. Dziękujemy sobie wzajemnie. Do zobaczenia!
Miłej drogi i powoli, bezpiecznie. Bywajcie!
Tak się zrobiło pusto i cicho. Dzieci nasze są z nami. Pewnie ze
dwa dni pobędą, a potem też każde do swego trybu powróci.
Ciemnieje powoli, żar słabnie. Noc niebawem będzie.

Zachód! Słońce czerwoną kulą,
Zawieszone nad lepacką górą,
Wzywa komarowe plemię,
Na kąsanie, na gryzienie.
Fala ucichła, woda stoi,
Wiatr nie kołysze trzcinami.
Znów jesteśmy sami!
Chrabąszcze spokoju nie dają,
Brzęczą i bzykają.
Wplątują się we włosy.
My zaś patrzymy rosy,
Co wróży jutro suchy, upalny dzień.
Czerwona kula poszła
Spać za lepacką górę.
Zmrok zapadł.
Widać drzew i krzewów cienie.
Jutro słońce powitamy,
Patrząc o świcie na Bienie!

LIPIEC

Mój miesiąc, też piękny i oczekiwany. W lipcu przyszedłem na świat. Jestem więc letnim chłopcem i z natury ciepłym, jak miesiąc narodzenia. Ciepłym, to nie samochwalstwo, to cecha, która określa upodobania ludzkie. Czy listopad, czy grudzień czy pozostałe, w miejscu gdzie przebywam, musi być ciepło. Nie lubię marznąć! Lato mi to daje. Trochę krótkie u nas, czasami kapryśne. Taki mamy klimat a także taka część świata, w której kraj nasz leży.

Szybciej skończyłem pracę, czyli dzisiaj nie zostałem po godzinach. I nie wracałem do domu, tylko buch i jestem w Bieniach. Lato piękne! Dziś też gorąco. Jestem sam. Cisza gwiżdże w uszach. Wiaterek trochę powiewa, wprowadzając w szum przybrzeżne trzciny. W spokoju mogę obserwować jezioro i tętniące tam wodne życie.

Rozłożyłem wędki na pomoście. Niech kuszą rybę. Od zachodu przesuwają się ciemniejsze chmury. Co da, zobaczymy?

A ja tu - jestem sam.
Pomost od brzegu,
Dębowe nogi w toni.
Kołysze się,
Kiedy wiatr,
Lub kto stoi.
Obok łódka.
Szumią trzciny, tam
Kaczka mieszka z kaczątkami.
Do wyścigu stanęły
Łabędzie z perkozami.
Fala się wzmaga,
Kołuje rybitwa.
Okoń w sitowiu się schował,
W oczekiwaniu na obiad.
Rozłożone wędki z żyłkami,
Uwiązane haczyki,
Kuszą robakami.
Kaczka woła swoje dzieci,
Wygrały perkozy.
Upał, słońce ostro świeci.
Jakiś zamęt w sitowiu.
Okoń najedzony.
Przyjdzie chyba burza,
Kapie z nieba.
Do wsi pędzą drogą krowy,
Rżnie głośno krajzega.
Jestem sam - właśnie tam.

Już wiem, że chmura niewiele popsuła. Samotny mój pobyt w niepogodę byłby smutnym zakończeniem dnia. Ryba niechętna na moją przynętę. Spławiki stoją nieruchome. Burza poszła w innym kierunku, na inne jeziora. Tam zapewne ryba przed burzą żeruje. A jezior tu wiele dookoła. Od Ełku przez Sunowo, Lepaki Wielkie i dalej aż do jezior mazurskich planowano zrobić szlak wodny. Na razie są plany.

Coś zawarczało. Przyjechali Janek i Jola. Fajnie! Poszedłem się przywitać. Przywieźli swoich gości. Będzie ognisko. Widzę ład panujący na kręgu pod ognisko, wygrabiony teren celowo wykopany na zboczu i wypoziomowany, ku wygodzie w wypoczynku, ze skalniakiem na wzgórku porośniętym wszelakiego rodzaju kwiatem. Podobnie u nas, też taki plac mamy, tujami i mahonią obsadzony od góry. Dołem od jeziora wierzbami, które łatwo się przyjęły.

Największą od wody, już wysoką na kilka metrów bóbr ściał zębami szykując mieszkanie dla siebie i rodziny. Tak one tworzą sobie żeremia. Natura jest pełna podziwu.

Idę do sąsiadów zaproszony na ognisko.

LIPIEC

Wieczór.

Jak przyjemnie nad wodą,

Po całodziennym upale.

Zamarła fala.

Wokół ogniska kilka twarzy.

Na grilu kiełbasa się smaży.

Cicho. Nie ma muchy.

Nie ma też komarów.

Zaś chrabąszcze wpadają we włosy.

Łąka mokra od rosy.

Pogoda!

Wędki czekają na węgorza.

Sen powieki zamyka.

W Bieniach głośna muzyka.

Późno! Spać pora.

Wsuwam się do śpiwora.

Jutro także będzie

Piękny, letni dzień.

SIERPIEŃ

Ósmy miesiąc już w tym roku, czas leci do przodu. Czerwiec, lipiec się nie cofnie. Przyjdzie, ale z inną datą. Liczę, że nadal będziemy się cieszyć piękną, letnią pogodą. Otoczenie zmieniło się z upływem dni przechodząc do etapu dojrzewania owoców i warzyw po letnim okresie wzrostu.

Cytując kolejny raz przysłowia ludowe to „Anny, jesiennej panny”. Już widać pewne symptomy zbliżającej się tej pory roku.

Najlepsze pomidory to sierpniowe i jeszcze z własnej domowej hodowli, bez nawozów sztucznych, polepszaczy wzrostu, czy wymuszonego dojrzewania chemicznymi metodami. Przemysłowo nie produkujemy, tylko dla siebie na własne potrzeby. Przyszedł czas, by je zbierać. Podobnie warzywa, na codzienny użytek. Owoce jabłoni i gruszy jeszcze czekają, jeszcze nie czas. Stefania sadziła, by mieć zajęcie. Ona, córka gospodarza ze wsi. Ma to we krwi. Nie ciąży jej to obowiązkiem, lecz radością, że coś się udało. Ja też dumą pałam i zadowoleniem.

Dziś ryby głód poczuły. Tak mniej więcej wiem, dlaczego. Wiosną i wczesnym latem ryba ma większy wybór w dostępie do naturalnego pokarmu. Przy brzegach, na płycznach w szuwarach, tatarakach i sitowiu wszelkie larwy ważek, komarów, much i skrzeku żabiego karmiły stada ryb w sposób wystarczający. Przepoczwarzyły się, uwolniły na ląd i miast być rybim obiadem, stają się łupem ptaków.

Nałowiłem dużo. Trochę skrobania i czyszczenia, to nic, z płotką idzie jak po maśle. W occie w słoiki poskładam. Stefania lubi. Dłużej poleżą w przyprawach w chłodnej piwnicy. Romek i Tomek postawili dębowy pień na pomoście. Trenują skok do wody z jakimś obrotem. Cieszą się chłopaki, a ja nimi. Zmrok wcześniej nadchodzi i mgła już się zdarza. Ucieka nam lato, ucieka!

SIERPIEŃ

inaczej

W ogrodzie schnie koper.
Zrobiło się pomidorowo.
Dynia w połowie nadęta,
Zazdrości ogórkom.
Siedzę na wzgórzu
Skrobiąc nożem płotki.
Udał mi się połów.
W dole radośnie.
To na pieniek,
To chlup z pieńka,
Pogniotła się wody sukienka.
Pofalowała, pomąciła.
Wieczór chłodny i poranki,
Już minęło święto Anki.
Noc nadchodzi, ciszę prosi.
Brak księżycy. Zaciemnienie.
A nad woda mgła się wnosi,
I okrywa szalem Bienie.

WRZESIEŃ

Miesiąc taki, że więcej prac porządkowych, niż wypoczynku. Ciepło, ubranie już jesienne, mniej przewiewne, flanelowe. Upały odeszły, koniec opalania i wiatr już się czuje. Nie ma rosy, więc spodziewać się należy pogodnego, ale wrześniowego dnia. Planujemy pracę.

Część naszej działki stanowiło kiedyś orne pole. Teraz to nieużytek, mniej porośnięty trawą. Nie będę jej odsiewał, zostawię na las. Posadzimy sosny, świerki, brzozę. Górą, od samej granicy z drogą, wcześniej posadziłem kilka dębów. Modrzewi w liczbie 116 sadzonek wkopaliśmy od drogi, aż po brzeg jeziora jako drzewa graniczne działek naszej i Janka. Janek też posadził kawałek swojego lasu. Wcześniej to zrobił i już bujnie mu rosną, w większości sosny.

Pracy będzie dużo, ąle będzie las. Z czasem może i maślaki będą. Niech tylko podrosną i poszycie zmieni się na leśne, to wiatr grzybnie przyniesie. Chłopcy moi pomagali. Teraz już na Janka łódce wypoczywają z wędkami. Odpoczywam ze Stefanią w namiocie przyczepy, chroniąc się przed silniejszym wieczornym wiatrem. Jutro zbieramy się do domu.

WRZESIEŃ

inaczej

Za horyzont poszło słońce.
Półmrok zasłał swym obrusem łąkę.
Zamazane wędek końce.
Żuraw wołał na nocną rozłąkę.
Ciemnieje, nie widać spławika.
Z zachodu zawiewa. Fala o łódź bije.
Wołam ja chłopaków!
Trzcinę na bok kładzie.
Wieje od Lepaków.

PAŹDZIERNIK

Przyszła pora październikowych porządków w ogrodzie i kwietnikach. Skalniak też do zimy trzeba przygotować. To praca Stefanii. Nie dotykam się, bo jeszcze po łapach dostanę! Ona wie które, jakie, gdzie i ile. Te uciąć, te wykopać a te posadzić. Dobrze! Do ryb mi się nie wtrąca, więc układ jest dla mnie korzystny.

Wcześniej wyjęte cebule tulipanów znów trafiają do ziemi. Muszą przemarznąć, by kwitły w maju. Irysy zostają. Mieczyki wyjmujemy i zabierzemy do piwnicy w domu. Tu by zniszczył je mróz. Dalie też wykopimy.

W sadzie niewiele jabłek i gruszek. Młode drzewka słabiej plonują. Jednak i to raduje oczy i żołądek. Nie mamy żadnej piwniczki na działce, bo tak naprawdę nie ma takiej potrzeby. Od zachodu ciemne chmury napływają dość szybko. Zaraz będą nad nami.

Problem z wyjazdem do domu. Dłuższe opady niszczą dojazdową drogę gruntową. Można się zakopać w błocie. Lunie pewnie mocno. Oby krótko, bo będzie nocleg przymusowy. Ania i Ola córki nasze w domu, więc i o psy zadbają. Zobaczymy, może da się przejechać.

PAŹDZIERNIK

inaczej

Pociemniało, podmuchało. Leje!
Ogródek w powodzi.
Bóg deszczu postawił
Zakaz ruchu na drodze.
Po kolana wody w łodzi.
Rześko!
Pojaśniało, pozłociło słońce.
W ogrodzie opary. Bóg pogody zdjął
Zakaz ruchu na drodze.
Wylali wodę z łodzi.
Jeszcze rzut oka na Bienie,
I na Lepaki.
Chyba pojedziemy?
W drogę! Chłopaki!

Jola też zapewne wykopie czułe na mróz rośliny z kwietnika i zabierze do Elku. Szkoda stracić. Mają bardzo zadbane fragment działki. Bliżej im do Bieni, to częściej mogą tu bywać. Koza też czeka Pana. Jak sama, to meczy i meczy. Wyjątkowo towarzyskie zwierzę.

Janek ma stajenkę dla kozy i też ma problem, bo na działce koza nie przetrzymuje. Zbudował jej stajenkę, by miała Matylda swój dom. Matyldę podarowałem mu na imieniny w prezencie. Kiedyś w rozmowie powiedział mi, że chciałby mieć na działce kozę, która by wszystkie chwasty wygrzyzała pod drzewkami i krzakami, by nie musiał się schylać. Pracowałem w Goniądzu. Tam był hodowca kóz. Kupiłem u niego koźlątko, które było już samodzielne i samo jadło. Tak chciał, więc kupiłem i po związaniu przednich i tylnych nóg przywoziłem na działkę w pudle po telewizorze.

Imieniny Jana w czerwcu. Śmiechu i radości było co niemiara. Powierzyłem mu deski, które pozostały po zbudowanym pomoście. W jeden wieczór zrobił jej stajenkę. Cały rok była zabawą i śmiechem na działce. Wyrosła na dużą kozę. Na zimę zabrała ją siostra Janka Dorota mająca gospodarkę na wsi, oborę ze stadem krów, to i Matylda zmieściła się tam. Z Matyldą, a w zasadzie z jej fotografią przeżyłem kilka przyjemnych i sympatycznych chwil w 2003 roku.

Mieszkając w Korycinie codziennie przeglądałem lokalną gazetę regionalną. „Gazeta Współczesna”, bo taka jej nazwa, ogłosiła konkurs fotograficzny dla czytelników. Tytuł konkursu „Te co skaczą i fruwią”. Przystąpiłem do konkursu.

Czytelnicy nadsyłali zdjęcia różnych swoich zwierzątek, ptaszków, papużek, skaczących kotów, przeróżnych domowych stworzeń.

Będąc na działce udało mi się zrobić kozę Matyldę w locie w towarzystwie wilczura suczki Doxy, którą Janek przywoził z domu w Ełku. Matyldzie porobił skocznie oddalone jedna od drugiej po kilka metrów. Właśnie wykonywała skok i w tym momencie obiektyw mego aparatu zarejestrował ten fakt. Zdjęcie ciekawe tematycznie. W górach normalne, kozy skaczą. Nad jeziorem ewenement. Dostałem nagrodę miesiąca, potem za to samo nagrodę lata, na koniec nagrodę roku. Ja, jako fotograf, a Janek właściciel kozy, też został uhonorowany. Miłe to było.

Jak koza z wilczycą

Pragnę Państwu przedstawić miłe zwierzę, które jest przyczyną wielu radości. Kozą imieniem Matylda została nam darowana jako prezent imieninowy od naszego szwagra Rafała. Jako młodziutka kózka nadawała się do prostej tresury. Chodzi przy nas jak pies, nie odstępując na więcej niż 10 metrów. Reaguje na swoje imię, wdzięcznie odpowiadając „mee...eee...”. Je wszystko. Chodzi i bryka wszędzie, czasami dość mocno broi, ale nasza miłość do zwierząt pozwala nam o tym zapomnieć. To zwierzątko nam ufa, a my jesteśmy jej wdzięczni, że sprawia nam tyle radości.

Rano zawsze wyprowadzam ją z obórki – zbudowanej specjalnie dla niej – na ranny popas. Pod wieczór, by lepiej się spało, kózka wyprawia różne sztuczki, których ją nauczyliśmy. Ma specjalne podesty, po których zgrabnie się porusza – jak górska kozica. Jest mocno zaprzyjaźniona z naszą wilczycą, która wypoczywa z nami nad jeziorem, na rekreacyjnej działce w okolicach Ełku. Przyjaźń ta nie polega na wzajemnym tolerowaniu się, lecz na ochronie i obronie, tak, jakby zwierzęta od urodzenia się kochały.

Zdjęcie ukazuje Matyldę podczas popisowego skoku z asystującą wilczycą Doksą. Autorem zdjęcia jest Rafał, darczyńca, natomiast właściciel kózki to Jan z Ełku (dane do wiadomości redakcji).

Przypominamy, że do końca wakacji możecie do nas przysyłać zabawne fotografie swoich zwierząt (ul. Suraska 1, 15-950 Białystok z dopiskiem „Zwierzak” lub pod adres mailowy: piotrus@wspolczesna.pl). Napiszcie też kilka słów o swoich pupilach. Opublikujemy najciekawsze zdjęcia. Wybierzemy też zwierzątko sierpnia i całych wakacji, a zwycięzców nagrodzimy.

Znamy już trójkę zwycięzców z sierpnia. Wygrało zdjęcie kozy i wilczycy. Na „pudle” znalazły się też jamnik szorstkowłosy Kiszka oraz pudelka Balbina Szczubetek.

Koza imieniem Matylda to prezent imienny. Przeszła prostą treść, dzięki czemu często zachowuje się jak pies. Reaguje na swoje imię. Je wszystko. Czasami dość mocno broi. Pod wieczór, by lepiej się spało, kózka wyprawia różne sztuczki. Ma specjalne podesty, po których skacze jak górski kozica. Jest zaprzyjaźniona z wilczycą Doksą. Autorem zdjęcia jest Rafał, który podarował kózkę, natomiast jej właściciel to Jan z Elku (dane do wiadomości redakcji). Właściciele Matyldy dostają od nas radiobudzik.

zwierzakiem wakacji została koza Matylda utrwalona na zdjęciu wraz z wilczycą Doksą. Doceniliśmy przede wszystkim gibkość i grację podczas wykonywania ewolucji powietrznych (patrz zdjęcie powyżej). W nagrodę przyznajemy kwartalną prenumeratę „Gazety Współczesnej” oraz niespodziankę. Autora fotografii, pana Rafała z Korycina prosimy o kontakt z Biurem Gry (748-74-22, rozmawiać z Jadwigą Nielipinską) w celu uzgodnienia szczegółów i odbioru niespodzianki.

Wzmianki o zwycięskim zdjęciu z „Gazety Współczesnej”.



Zdjęcie, które zwyciężyło we wszystkich kategoriach konkursu „Te co skaczą i fruważą” ogłoszonego przez „Gazetę Współczesną”. Na fotografii koza Matylida i jej przyjaciółka wiczycza Doxa.

LISTOPAD

Taki smutny, taki ciemny, chłodny i wietrzny. Z mojej obserwacji przyrody to najbardziej ponury miesiąc w roku. Nic nie rośnie, nic nie kwitnie. Kto ma sad kończy już pracę, by mróz go nie wyprzedził. Pszczoły też nie widać, po co ma latać, jak pożytku nie ma. Ocieplone ule, roje podkarmione, zwinięte w ciasny kłęb śpią, by przetrwać do wiosny.

Przyjechałem kontrolnie na godzinę sprawdzić, czy kto nie zakłócił porządku naszego. Goła i pusta nasza ziemia.

Przyczepę campingową pociągnąłem na zimowanie do gospodarza w Bieniach, uzyskując jego zgodę. Tam będzie bezpieczna. Gdybym zostawił, byłoby włamanie amatorów cudzej własności. Sąsiadów już odwiedzili, czyniąc szkody.

Spaceruję i trochę mi zimno. Na pomoście wiatr silniejszy czapkę chce porwać z głowy. Woda przejrzysta, dno widać na dwa metry. Pływa drobnica, która już głębszych miejsc szuka na zimę. Uciekam z pomostu schować się przed wiatrem.

LISTOPAD

inaczej

Goła olcha,
Nie leciwa.
Wierzba też sypnęła liście.
Wicher zimny łódką kiwa.
Kryształ woda.
Jest przejrzyste.
To co kwitło,
Poszło spać.
Na pomoście trudno stać.
W Bieniach dziatwa przy ogniskach,
Palą łęty w kartofliskach.
Dym się snuje tuż przy ziemi.
Tak jest zawsze na jesieni.
Nasze wzgórze posmutniało.
Odleciały wszystkie ptaki.
I na ryby też nie idę.
Smutny okres taki!

WIELKA FALA

Wiatr! Rozpędzony od lepckiej góry
Pod kołdrą ciemnej chmury
Świszczy po trzcinie, przyjmując ukłony modrzewi.
Wiruje przy pomoście, coraz silniej i głośniej.
Pouciekały z głów czapki.
Grzywy białe na wodzie,
ustawione w wojskowym szyku.
Wędrują do Ełku.
Przyglądam się wodzie, obserwując z dala.
Wiatr nie cichnie i nadal wielka fala.

Zbieram się do powrotu. Chłód odczuję później, oby bez
temperatury i kataru.
W grudniu wpadnę przed świętami. Może wybiorę choinkę.
Niektóre mają już po dwa metry.

GRUDZIEŃ

Podobnie jak listopad. Też krótki dzień, już zimowy, ale bardziej radosny, niż poprzedni, bo biały. Śnieg przysłonił starą, tegoroczną trawę i już raźniej, ciekawiej i jaśniej. Widać różne ślady dzikich zwierząt. Ludzi nie ma, więc swobodnie chodzą po działkach w poszukiwaniu jedzenia. Strach, by nie pogryzły krzewów i drzewek, jak głód mocno je ściśnie. Nie ma dla nich płotów, czy ogrodzeń. Przejdą jeziorem. Natura. Tu człowiek nie powalczy, dojdą wszędzie.

Na razie strat nie widzę. Późną zimą może być gorzej, jak im zapasy pod skórą zimowego tłuszczu zmniejszą się i głód zajrzy w oczy. Trzeba być dobrej myśli i ufać, że się powiedzie i dobro nas nie opuści. Taka moja stara dewiza!

Sprawdza się. Wiem!

Będzie okres zimowy, a więc domowy, codzienny, taki normalny miejski tryb. Z początku łatwy i znośny. Już dalej mniej cierpliwy, a później wyczekujący, poddenerwowany.

Są symptomy fajnych dni grudniowych. To więcej wolnego i więcej innej pracy, niż codzienność. Święta i sylwestrowy koniec roku, zadaje nam dodatkowych obowiązków. Panie koło kuchni biegają, panowie przy wystroju domu i pokoju. Dzieci marzeniami, co pod choinką Mikołaj im przyniesie.

Zwierzyna domowa trenuje ludzką mowę na Wigilię. Może nam wygarną, a może podziękują i my rodzinnie łamiąc się opłatkiem myślami i czynem lepsi będziemy ku sobie! Wierzymy, każdy w swojej wierze. Nowy czas nastanie i zła moc truchleje!

GRUDZIEŃ

inaczej

Rozerwały się poduszki
U Pana Boga!
Puch zimowy pokrył łąkę.
Zapowiedział nam rozłąkę.
Już teraz nie przyjedziemy.
Nie ma po co!
Pousypiały wszelkie rośliny,
Pouciekały wszystkie ptaszyny,
Tylko choinki według zlecenia,
Czekają Bożego Narodzenia.
Chcą być ubrane
I mimo zimy,
Ozdobią Pana Urodziny!
Od Judzików od Lepaków,
Na pasterkę dzwon bije.
Ku pamięci. Stare dzieje.
Śnieżna zamieć już szaleje,
Bóg się rodzi!
Moc truchleje!

Choinki nie wyciąłem z obawy przed kontrolą w drodze powrotnej. Kto mi uwierzy, że to z mojej działki. Potrzebny kwit od leśniczego. Przepis ochronił jej życie. Niech się pnie go góry i na duży świerk wyrasta. Po drodze kupiłem na placu w mieście.

Rok się kończy. Co umiałem, opisałem i utrwaliłem na papierze ten **malutki kawałek ziemi, kupiony w ostatniej chwili.**

TO KONIEC

Kto dotrwał do końca i przeczytał moje wspomnienie, zrozumiał pasję, która mnie ogarnia.

Moje spojrzenie na odmienny świat, radość i miłość do przyrody. Tym osobom dziękuję. Wiem, że takich jak ja, jest wielu na świecie. Do Was piszę, przywołując te słowa. Wam je dedykuję! Żonie Stefanii, jak na wstępie podałem, poświęcam.

Rafał

EPILOG

Malutki kawałek ziemi,
Kupiony w ostatniej chwili.
Stale nas zaprasza,
Byśmy na nim gościli.
Potulny, nie kapryśny,
Dobrze ułożony,
Według planów Stefanii.
Pozwala się obsadzać
Roślinami.
Dźwiga ciężki skalniak
Z kwiatami.
Między schodami
A kręgiem na ognisko,
Na samym skraju
Zasiadła rodzina Mahonii.
Przyjęły w gościnę dwie Tuje.
Od wody wilgoć się czuje.
Wierzby i Olszyny pną się do nieba.
Rozbijamy obóz, łowimy ryby,
Dzieci pluskają się w wodzie.
Psy biegają i sąsiedzi są mili.
Na malutkim kawałku ziemi,
Kupionym w ostatniej chwili.